



Janina Kozłowska

część II z II

Sygnatura notacji: **N1390**
Data urodzenia: **28.03.1938 r.**
Data nagrania: **11.10.2019 r.**
Miejsce nagrania: **Centrala IPN, Warszawa, Polska**
Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sikorski**
Czas nagrania: **część I: 60 min, część II: 58 min**
Format nagrania: **video**
Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Po wojnie było nam bardzo ciężko. Rodzice stracili, właściwie nie mieli o co, jak to się mówi, rąk zaczepić. Matka złapała gruźlicę, nie nadawała się do żadnej pracy w tak zwanych państwowych instytucjach. Próby reaktywowania działalności kupieckiej spełzły na niczym. Należeli obydwójce do Związku Kupców. Chodzili, zwłaszcza matka, to pamiętam – to był chyba urząd skarbowy, tak to się nazywało, na Lindleya, gdzie próbowała uzyskać koncesję, licencję. Wie pan, to zostały – ja nie wiem, co się za tym kryło – to zostały mi tylko formułki takie, o co to matka się starała. Nic się nie udało, więc w końcu ojciec na lichej, nędznej posadce się gdzieś tam zatrudnił. Na Nowogrodzką nigdy nie chodzili, ani nas nie prowadzili. Wie pan, ja nie wiem, skąd to były, skąd taki – ani nigdy nie rozmawiali z nami o Powstaniu. Była jakaś bariera, że nie wracało się do tego. Zresztą, po co było rozmawiać, jak wokół widziało się skutki na każdym kroku. Ja pamiętam okolice... Bo to ściśle Śródmieście, to było, to było moje dzieciństwo. Doskonale pamiętam, które kamienice ocalały. Na odcinku Hoża-Wilcza, no to był budynek narożny, tam gdzie wpadła ta straszliwa bomba i zrobiła straszliwe zniszczenia, ale w środku gmachu. Następnie to był nieruszona Poznańska 16. Następna to była Poznańska 14, gdzie podobno była próba podpalenia, ale widocznie już się bardzo spieszyli, klatki schodowej, drewnianej, w pierwszym podwórku, ale nie udało się. To była nieudana... Następna była Poznańska 12, a Poznańska 10 to były ruiny – to doskonale pamiętam. Po drugiej stronie, na rogu – i po jednym rogu i po drugim – ruiny. To była na rogu Hożej i Poznańskiej. To była kamienica, w której mieściło się, zapamiętałam sobie, apteka. Było tam napisane: „M. Motak”. Chyba „M”, ale głowy za to... Motak – z całą pewnością, dlatego że w kamienicy po drugiej stronie był tak zwany skład apteczny: no baseny, nocniki, zioła. To było drugie i też było to Motaka. Następna kamienica po drugiej, po stronie nieparzystej, to była, to był ciemny wówczas budynek. To teraz zrobiono, na biało tam wymalowano, od tego, ale to był ciemny bardzo budynek. To była ambasada rosyjska. Tak nam, tak się

mówiło. Czy to w czasie międzywojnia była jakaś tam ambasada, czy to jeszcze nazwa przetrwała z okresu przed... wcześniejszego – nie umiem powiedzieć. Mówiło się: „ambasada rosyjska”. Trzynastka była cała, jedenastka zniszczona. I dopiero po drugiej stronie, Poznańska 7, Poznańska 5, Poznańska 3, a Poznańskiej 1 już nie było. I w tym wszystkim tak się poruszaliśmy. Ja nie wiem, czy będzie to dla państwa interesujące, co zwróciło moją dziecięcą uwagę po powrocie do Warszawy. Mianowicie, na wielu budynkach był napis: „Sprawdzono, min nie ma”, a pod spodem po rosyjsku: Min niet. Więc widocznie wiele budynków było zaminowanych. Ci co wrócili... Wojsko które... Mieli świadomość tego i były te budynki sprawdzane. Druga sprawa. Przez pewien czas Marszałkowska... Ta, Poznańska, od ulicy Piusa – i zaraz powiem, dlaczego mówię: „Piusa”, aż do Nowogrodzkiej, to był jeden wielki bazar, po jednej i drugiej stronie. Szedł handel, czym kto mógł. Na trotuarach porozkładane i te... Trwało to niezbyt długo, bo, bo to nie było może czy potrzeby, czy jakieś rozporządzenia wyszły. Doskonale pamiętam tego: „Sprawdzono, min nie ma” na budynku, tu gdzie jest teraz – urząd gminy? Wtedy to się nazywała rada narodowa. Ten budynek był zniszczony, ale gdzieś do, do wysokości parteru mury były, dlatego on tam... Można było to napisać. Natomiast na rogu Nowogrodzkiej i Poznańskiej, gdzie pamiętałam kamienicę z powodu przepięknej bramy. Wiele budynków warszawskich miało piękne balkony z kutego żelaza, jak to moi rodzice określali i bramy w różne takie esy floresy – przepiękne bramy. Wiele budynków warszawskich takie, takie ozdobne wejścia do kamienic miało. Poczta była nienaruszona, ale ulica Barbary – obraz nędzy i rozpaczy. Ale tam ludzie w suterenach, w piwnicach, gdzie kto mógł, zamieszkiwali. No jakoś się urządzali. Otóż układ ulic warszawskich, jakich, z jakie... W tym wąskim dosyć, moim Śródmieściu, zapamiętał mi się dokładnie i był zasadniczo różny od tego, co teraz mamy. Cała sprawa – i ja nie krytykuję, że powstał MDM, czy że zmieniono układ ulic. Taka była konieczność. I dlaczego o tym mówię. Bo były kamienice pozornie nieuszkodzone lub mało uszkodzone, a okazały się pułapką dla ludzi. I byłam świadkiem zdarzenia. Już w czterdziestym piątym roku, szłam na, parterową Marszałkowską, gdzie były te sklepiki tam, bo tylko na parterze, do składu piśmiennego po stalówki, po zeszyty. I idąc Wilczą w kierunku Marszałkowskiej, spojrzałam na prawą stronę. Tam została oficyna, którejś z kamienic na Wilczej. To była trochę w głębi. Wystawało, wystawała stamtąd rura, bo „kozy”, ludzie pewnie sobie tam „kozę” założyli. I w pewnym momencie to wszystko runęło. To był tak przerażający widok. No ciąg dalszy tego wszystkiego: ludzie stanęli, rzucili się ratować. Tych ludzi zasypało. Ludzie płakali i mówili: „Przetrwali okupację, przetrwali Powstanie i... a tu ich śmierć dopadła”. Więc to było dla mnie również straszne przeżycie. Stałam i płakałam razem z innymi. Jeśli chodzi o układ ulic, no doskonale pamiętam, że ulica, która jest obecnie Piękną i która niewiele ma wspólnego z przebiegiem na odcinku Marszałkowska-Poznańska, z dzisiejszym układem ulic, nazywała się ulicą Piusa i jeszcze po wojnie tuż, nazywała się ulicą Piusa. Stąd wiem, że tam rodzice nam kupili czapki szkolne, bo trzeba było wtedy w czapkach szkolnych chodzić. Więc ten odcinek nazywał się Piusa, którą później, zmieniono nawet układ tych ulic. Zmieniła się też nazwa ulicy Żurawiej, która na odcinku między Marszałkowską a Poznańską nazywała się wówczas ulicą Żulińskiego. Na ulicy Żulińskiego kilka kamienic ocalało, jest to do sprawdzenia. Później jeszcze powiem, po czym to ja poznaję, oprócz wygrzebywania z w własnej pamięci, po czym rozpoznaję te kamienice, które ocalały. Otóż na rogu Żulińskiego i Marszałkowskiej ocalała w całości kamienica Marszałkowska 95. Tam, zaraz po wojnie, była Szkoła Podstawowa nr 1 i tam chodziliśmy do szkoły: mój starszy brat, ja, mój młodszy brat, więc wiem, że to była dziewięćdziesiąt pięć. Stąd jestem w stanie stwierdzić, jaka, jaki numer mógł być kamienicy przylegającej... Jak gdyby... Która była przedłużeniem Poznańskiej 14 w kierunku Marszałkowskiej. Więc mogłam, mogło to być, ja tak sobie ponumerowałam, osiemdziesiąt trzy, osiemdziesiąt jeden, może siedemdziesiąt dziewięć. To jest do sprawdzenia, bo resztki, ta kamienica istnieje, ale

w bardzo okrojonym kształcie. Nie ma już kamienicy Marszałkowska 95, została wyburzona przy poszerzaniu Marszałkowskiej. Kamienica, która była przedłużeniem Poznańskiej, miała również całą fasadę zniszczoną, pierwszą tę oficynę. Sterczały z boku jak gdyby takie dwie boczne oficyny. Te oficyny również były zburzone, już po wojnie, bo szło poszerzanie Marszałkowskiej. Więc tak jak mówię, tę kamienicę od drugiej strony, od Marszałkowskiej, również pamiętam, ale już z okresu popowstaniowego. Może wrócę jeszcze, dlaczego zaczęłam wspominać, bo o tym chyba jeszcze nie mówiłam, zaczęłam wspominać Powstanie Warszawskie. Przez siedemdziesiąt pięć lat tkwiło to we mnie nieujawniane. Nie rozmawialiśmy o Powstaniu ani z rodzicami, ani z moim rodzeństwem, zwłaszcza ze starszym bratem, ale nawet z rówieśnikami. Przecież tych dzieciaków do tej szkoły chodziło dużo. I szkoła była na szóstym piętrze tej kamienicy. Na trzecim piętrze był weterynarz. Weterynarz był potrzebny. Tam ciągle były konie, bo były dorożki i byli wozacy, którzy dowozili ludności węgiel, więc na takie te przeglądy do tego weterynarza. No to tak à propos tej kamienicy dziewięćdziesiąt pięć, Marszałkowska. W każdym bądź razie o tym się nie rozmawiało, nie rozmawiało się. To było jakoś ten... I dopiero w tym roku uroczystości, w moim odbiorze, siedemdziesiątej piątej rocznicy Powstania Warszawskiego, stulecia wybuchu wojny światowej, były dla mnie poruszające. Ja odebrałam to jako sposób godny tych strasznych dwóch tragedii. No wie pan, no ja już abstrahuję od sformułowań o tańcach i takich, bo to już przekracza wszelką moją, wszelkie moje wyobrażenie, czuć takie straszne dwie daty czymkolwiek innym poza mszą, poza żałobą, poza skupieniem. I to odnalazłam w tych przekazach. Relacje w telewizji z obchodów Powstania Warszawskiego oglądałam z moją wnuczką i wtedy coś mi powiedziało: „Ty jej to musisz powiedzieć, nikt jej tego nie powie”. Matka nie, bo nie wie, bo ja moim dzieciom też nie opowiadałam. Więc wtedy po raz pierwszy opowiedziałam to, te moje przeżycia, myślę że w skromniejszej formie, niż tu państwu dzisiaj opowiadam. Pewnych drastycznych rzeczy oszczędziłam dziecku, ale to był pierwszy moment, kiedy ja o tym opowiedziałam. Drugi moment, to było właśnie rocznica obchodów wybuchu II wojny światowej. Takie przemówienie, jakie wygłosił pan prezydent Duda, no naprawdę, byłam wzruszona, byłam poruszona. I powiem rzecz jeszcze jedną: czyje przemówienie tak bardzo mnie poruszyło. Wie pan, ja jestem człowiekiem, który ma własne zdanie w wielu sprawach, nie ulegam – no żeby, żeby nie powiedzieć, nie użyć niewłaściwego słowa – ogólnie przyjętym opiniom. Dla mnie poruszającym przemówieniem było przemówienie... Prezydent Niemiec to był? Tak? Na tej, na tych obchodach? Bo w tych, tych, to się już gubię. Przemawiał Niemiec zaraz po prezydencie Dudzie i powiedział rzecz, która przedstawiła mi go jako człowieka, który czuje, który wie, który rozumie nasz naród. Mianowicie, on powiedział taką rzecz: nie ma drugiego – nie wiem, czy dokładnie to powtórzę, jest to do sprawdzenia, bo to są – nie ma drugiego takiego miejsca na świecie, gdzie bym z takimi uczuciami przemawiał w tym języku. I wie pan, co ja wtedy usłyszałam? Raus! Halt! Hände hoch! I szwargot niemiecki, tak jak wówczas określaliśmy. I myślę sobie: ty, człowieku, czujesz, czujesz, że może jeszcze są ludzie, dla których język niemiecki jest trudnym do wysłuchania. Ja się nigdy uczyłam, nie nauczyłam i nawet nie chciałam. To była też kolejna bariera mojego, mojej osobowości, że ja nigdy – dla mnie zawsze był to język strachu, język przerażenia. No, ale abstrahując od tego. Później przyjechała córka, we wrześniu właśnie, bo ja miałam operację zaćmy i też były powtórki różnych tych, więc różne rzeczy oglądała w telewizji. I powiedziała mi tak: „Mamo, a gdzie był sklep dziadków?”. Bo na Poznańską 14 to były całe wyprawy moich dzieci ze mną, do moich rodziców, bo oni umarli w osiemdziesiątym szóstym roku, w 1986, na, na już ... Więc chodziliśmy. Natomiast Nowogrodzka to był adres, no nie, no nie do tego. Ja mówię: „Dobrze, dziecko, przecież tam już niczego nie ma”. „Mamo, ja chcę zobaczyć chociaż miejsce, gdzie to była ta Nowogrodzka 37”. Ja mówię: „Dobrze. Jutro jest niedziela, ładna pogoda. Pójdziemy i oprowadzę cię po Warszawie mojego dzieciństwa, bardzo wczesnego dzieciństwa. Zgoda”. Ale

jeszcze tak na marginesie mojej opowieści, żeby nie było tak, że moje dzieci nic nie wiedziały o Powstaniu Warszawskim, to muszę powiedzieć, że nie wiedziały ode mnie, ale było zainteresowanie. Na... Wśród licznych książek, bo mamy bardzo dużo książek, było, była książka: „Przemarsz przez piekło”, o ile ja przypominam sobie, Podleskiego, wyczytana przez mojego syna i nieraz coś mi – chciał zapytać czy coś powiedzieć, a ja mu mówiłam: „Synku, daj mi spokój! Ja to przeżyłam. Zostaw”. Czy pan sobie wyobraża, że ja do tej pory książki „Przemarsz przez piekło” nie przeczytałam. Później mój syn zainteresował się taką książką tego Anglika – Norman Harris czy...

Davies.

Davies Harris. Davies... Norman?

Norman Davies.

Tak, Norman Davies. I też tam. Ja mówię: „Nie opowiadaj mi, to on... Ty też zna, nie tego. Moja opowieść jest... Ja to przeżyłam, ale ja ci nie chcę o tym opowiadać”. Więc to tylko tak na marginesie, że nie jest, nie jest w mojej rodzinie znana kwestia Powstania Warszawskiego, broń Boże. Z mojej relacji, ale moje dzieci były zainteresowane. No, jednym słowem, ustaliłyśmy z córką, że 15 września, a był przepiękny dzień tego roku, wybieramy się na Nowogrodzką 37. Znalazłyśmy się na Nowogrodzkiej. Pokazałam, że Nowogrodzka w tym miejscu jest po stronie, tam, gdzie był sklep dziadków, znacznie poszerzona, kamienice wyburzone. Że tam właściwie, no to jest to miejsce. Że naprzeciwko była stacja kolejki „ekadowskiej”, że tory kolejki „ekadowskiej” dochodziły. Pokazałam córce perspektywę Nowogrodzkiej od Marszałkowskiej do placu, w kierunku placu Trzech Krzyży. Mówię: „Zobacz, jaka jest szerokość tam ulicy, a jaka tu. Więc widzisz, jak to wszystko było, mogło być, w jakim, w jakim ciągu. Więc nie ma tego”. Pokazałam jej gmach poczty, pokazałam ulicę Żulińskiego. Pokazałam miejsce po mojej podstawówce. Pokazałam pięknie odbudowaną ulicę Św. Barbary. No i poszłyśmy Nowogrodzką. Tam znalazłam, tam są kamienice, które ocalały, między innymi... Ja zawsze rozpoznaję po balkonach, po bramach niektórych, które zachowały się. No i budynek Polski Bank Rolny. Wie pan, Polski Bank Rolny zapamiętał mi się z moich dziecięcych spacerów jeszcze przed Powstaniem, do Ogrodu Pomologicznego. Budynek ten zawsze mnie, nie to że przytłaczał, ale zachwycał swoją wielkością. Tam są takie na podjeździe dwie kule, na które ja jako małe dziecko próbowałam się wspinać. Więc mam z tym budynkiem Polskiego Banku Rolnego takie osobiste wspomnienia. No oczywiście, to co zrobili, tę nadbudówkę, na takim budynku, to jest barbarzyństwo, wie pan, niczym nie usprawiedliwione, ale to jest moja opinia, mogę mieć, bo ja pamiętam zwieńczenie tego banku, no trochę jednak inne. Doszłyśmy do Emilii Plater. Pokazałam kaplicę św. Barbary, pokazałam miejsce gdzie był, była kaplica Przeździeckich, która została rozebrana, ale mówię: „Dziecko, tu było”. I mówię: „A tu Ogród Pomologiczny”. No, w miejscu ogrodu – to był przepiękny ogród, tam chodziłam na dziecięce spacerki. To był duży obszar między Wspólną, Emilii Plater, Chałubińskiego i Nowogrodzką. To był Ogród Pomologiczny. Są budynki, są różne tam rzeczy na tym, tym. Po Powstaniu to była równina, został zniszczony ten Ogród Pomologiczny w barbarzyński sposób. Wie pan, chwasty tam rosły, no... Chwasty szybko rosną na gruzach. To, wie pan, nigdy sobie nie przypomniałam, nie wyobrażałam, że tak szybko można, mogą wyrosnąć chwasty. Drugie miejsce, gdzie takie chwasty i dziki bez, to było Frascati, bo też przechodziły, w okresie powojennym przechodziłam do parku Ujazdowskiego, jak się chodziło. To było dosyć daleko z Poznańskiej, ale wtedy dla mnie nie było daleko, no to prze-

chodziliśmy przez Frascati. Też rudery, ruiny i ten dziki bez, który wyrósł bardzo szybko. Też dla mnie, no, te... Ale wracając do mojej, moich spacerów. Przeszłam ulicą Hożą, przeszłam ulicą – takim slalodem. Wilczą. Pokazałam Emilii Plater, następnie Wilczą, no i do Poznańskiej. Mówię: „Chodź, zajrzemy do... Na Poznańską”. Dawno nie byłam na Poznańskiej. Odmalowane to wszystko i doprowadzone, no do tego... Dużo nowych budynków, chociaż wprawdzie straszy jeszcze Poznańska 21 – zawsze taka była. Ja nie wiem, jak tam ktoś by spojrzał na to. To taki jednopiętrowy budynek – brzydki, bardzo brzydki, nie pasujący nawet do tego. Powinno się coś z tym zrobić. No, ale... No i pokazałam, nazywałam, mówiłam. W pewnym momencie stanęliśmy... I zdumiało mnie odnowienie trzynastki, którą pamiętałam jako obskurną kamienicę, a teraz wyremontowaną, ładnie wygląda, nie straszy już tak. Córka do mnie mówi: „Mamo, ludzie z powrotem zamieszkali na Poznańskiej 14”. Ja mówię: „Niemożliwe, przecież wyrzucili ich, wysiedlili i no...”. „Popatrz”. Patrzę, rzeczywiście, bramę otwierają, wchodzi ludzie, wychodzą. Przez tę bramę zobaczyłam kapliczkę, która w pierwszej, w pierwszej, w pierwszym podwórku istnieje. Powiem panu, że się bardzo ucieszyłam. Mówię, no, kamienica, która ludziom wypędzonym w czasie Powstania dawała schronienie, znów wróciła, wróciła do ludzi. Bo muszę panu powiedzieć, że sprawa eksmisji ludzi z Poznańskiej 14 ubodła mnie do żywego i zaraz powiem, dlaczego. Moi rodzice zmarli w osiemdziesiątym szóstym, w 1986 roku. Tam zmienili się lokatorzy. Starych lokatorów... Zmienił się nawet „stary Grabowski”, jak go nazywaliśmy, nasz dozorca, na jego syna. Młody Grabowski, który teraz pewnie już nie... Nawet też nie żyje. Nie wiem, może żyje. W każdym bądź razie mój brat osiedlił się w Poznaniu, drugi brat ożenił się, też tam miał mieszkanie. My mamy mieszkanie. Przez pewien czas mąż mówił: „Słuchaj, może się zatroszczymy i weźmiemy to mieszkanie po rodzicach”, ale dzieci były za małe, żeby je zameldować. Tak, tak to nam wówczas powiedziano, nie mieli jeszcze szesnastu lat. Jednym słowem – bez większego, powiem panu, żalu, wzięłam klucze po śmierci rodziców, a było to w osiemdziesiątym, w 1986, poszłam do urzędu, tutaj na Nowogrodzkiej, róg, róg Poznańskiej, położyłam i mówię: „Rodzice – tego – niech służy to mieszkanie innym ludziom”. Nie wiem, czy ktoś potrafi sobie wyobrazić moją złość, gdy dowiedziałam się, że kamienica, która uchroniła tyle żyć, dała schronienie w czasie tak strasznej zawieruchy, jaką było Powstanie, że teraz, niezależnie czy to starzy lokatorzy, czy kolejni, no ludzie, którzy potrzebują dachu nad głową, że są wyrzucani. Oburzenie moje było straszliwe. Później dowiedziałam się, że nie jest to tylko Poznańska 14. Do głowy mi nie przyszło. Jaki był status prawny moich rodziców? Moi rodzice zawsze mówili: „Kupiliśmy mieszkanie od Włodawera”. Na jakiej zasadzie? Nie wiem, proszę pana, więc nie wiem, czy tam były jakieś prawne te... Natomiast pan Włodawer w czasie okupacji, to gdzie on się podział? No, był w grupie tej, uświadomionych, którzy uciekli, swoich pobratymców zostawili. Nic ich nie obchodził los współziomków, a wiedzieli. Byli tacy. Bo inaczej do Stanów Zjednoczonych pan Włodawer, bogaty kamienicznik warszawski by nie uciekł. Wrócił po wojnie. A teraz jakoby jego spadkobiercy. Więc wie pan, oburzenie moje na te wszystkie procedury, no nie ma granic, zwłaszcza że dotyczy to, jak w myślach określam: „mojej kamienicy”. Mojej, ze względu na to, co tam przeżyłam. Ale wracając do rzeczy. Idziemy sobie dalej. Mówię: „Agnieszko, to jest dla mnie widok pocieszający. To bardzo dobrze. To bardzo dobrze, że tej komisji jednak udało się coś z tą Poznańską 14 zrobić”. A moja córka mówi: „Mamo, tu gdzieś śpiewają”. Ja mówię: „Gdzie?”. „No to tutaj”. „Chodź, zobaczmy”. I tu trafiłam na państwa uroczystości. Było już po mszy świętej, młodzież śpiewała piosenki powstańcze, które ja też znam, ale których treść to tuż po wojnie ja sobie przyswoiłam, bo w czasie Powstania, to ja mówię: „Z dymem pożarów” i tę „Święty Boże, święty, mocny” – to takie moje melodie. I wtedy tam trafiłam. Przypomniało mi się wszystko. Moja córka dziękowała mi za tę wycieczkę po moim starym Śródmieściu i że jej to opowiedziałam. Ja już jestem stary człowiek, mam osiemdziesiąt dwa lata. Czy ona dlatego chciała, żeby to usłyszeć ode

mnie? Myślę, że tak. Bo czas płynie. Dla mnie szybciej, chociaż nikt nie zna dnia ani godziny. W każdym bądź razie było to dla nas przeżycie – i dla mnie, i dla córki I ja wtedy mówiłam do młodego człowieka, który do mnie podszedł. Ja mu powiedziałam: „Proszę pana, bo ja tu przeżyłam Powstanie i miałam sześć lat, więc ja nie jestem żadną tutaj kombatantką, ale ja to przeżyłam i troszkę sobie popłakałam”. No i tak to było z historią mojego, mojej obecności na tych uroczystościach. Zresztą powiedziałam wtedy tym młodym ludziom: „Bardzo dobrze robicie, że to przypominacie”. Co było dalej. Proszę pana. Moja, moje... Ja miałam rodziców niewykształconych. Byli kupcami. Do tego nie potrzeba było... Trzeba było mieć uczciwość, tak zwany dryg kupiecki. Rodzice moi to mieli, do handlu mieli żytkę, jakby się to powiedziało, ale wykształcenia nie mieli. Wykształcenie ogólne, podstawowe, prawdopodobnie żadne tam studia wyższe. Ale byli ludźmi mądrymi, byli ludźmi inteligentnymi, w tym znaczeniu oceny rzeczywistości, co nas otacza, uczciwości. Moi rodzice byli, jednym słowem, wspaniałymi ludźmi. I moja matka powiedziała nam jedną... Chorowała, biedna. Tak jak mówię, złapała gruźlicę. „Moje dzieci, myśmy stracili z ojcem wszystko, cały dorobek naszego życia. Wy macie szansę, musicie się uczyć. Jest szansa na to, żebyście się uczyli. Musicie się uczyć”. Proszę pana, problem numer jeden w naszym domu, to była nauka. Nie wolno było przyjść z czwórką ze szkoły. „Mamusi, ale przecież ta i ta gorzej odpowiadała, dostała piątkę”. „To naucz się na szóstkę – jeszcze wtedy nikt o szóstkach nie mówił – naucz się na szóstkę, żeby dostać piątkę”. Tym sposobem, dzięki uporowi mojej matki i dzięki wielkiemu poświęceniu, bo odmawiali sobie wszystkiego, spowodowali to, że zdobyliśmy wyższe wykształcenie. Brat najstarszy wykończył... ukończył Politechnikę Warszawską, Wydział Mechaniki Pojazdowej. Później dlatego miał pracę w, u Cegielskiego, jak się znalazł w Poznaniu. Mój młodszy brat ukończył Politechnikę Warszawską, Wydział Optyczny, no a ja spełniłam marzenie właściwie mojej matki, żeby być lekarzem. Otóż, proszę pana, ja jestem lekarzem, lekarzem pediatrą. Lekarz pediatra, kardiolog, bo jeszcze w tym okresie moich, moim, jak się skończyło studia, to się na dyplomie nie poprzestawało. Ordynator oddziału po prostu wypychał na różne szkolenia. Specjalizacja I stopnia, specjalizacja II stopnia. Później zabrakło kardiologa w szpitalu, w związku z czym ja zrobiłam specjalizację z kardiologii dziecięcej. Muszę powiedzieć, że ta kardiologia dziecięca to było, nawet sobie z tego nie zdawałam sprawy, jak bardzo interesująca mnie osobiście. Otóż, wie pan, kardiologia dziecięca to przede wszystkim wady serca, które są według mnie rozpoznawane na zasadzie szarady, krzyżówki. Jeśli to, to to, jeśli to, taki objaw, to wyklucza. Bo tam są elementy: rentgen, no przede wszystkim badanie, rentgen, EKG, echo serca później, które... Młodzi lekarze zaczynają rozpoznawać wady serca od echa serca, co jest błędem niewybaczalnym i... Dlatego jedna z moich koleżanek powiedziała: „Zanim się wezmą za kardiologię jakąkolwiek, to najpierw niech popracują z, jako szeregowy lekarz i zrobią specjalizację podstawowe”. Więc ja te specjalizacje robiłam. Moja matka była z nas dumna, żeśmy sobie tak wzięli to do serca, bo wykorzystano ten element w PRL-u, że nas wykształciła. Ja... Bracia nie mieli trudności, żeby dostać... Uczyliśmy się dobrze. Nie mieli problemu, żeby dostać się na Politechnikę. A ja, ku zdumieniu niektórych moich, też znajomych i z kamienicy, którzy też: A, no tego, jak to trudno i to... Ja dostałam się z a pierwszym razem, za pierwszym podejściem. Z tym że ja od razu wybrałam specjalizację: pediatrię. No i tutaj właśnie myślę o tym, jak mądra była moja matka, mądrością życiową, pomijając to, że była niesłychanie wierząca, ale tak jak mówię, nie bigotka, nie jakaś tam, tylko to była głęboka wiara. I tak to potoczyło się nasze życie późniejsze. Życie w powojennej Warszawie było ciężkie. Tak jak mówię, sam widok tego tak okaleczonego miasta był przykry. Ale dzieciaki, jak to dzieciaki, bawiły się po swojemu i przetrwały to wszystko. Dzieci po takich przeżyciach... Proszę pana, nikt wtedy nie słyszał o pomocy psychologicznej, pomocy psychologa. Proszę pana, i to jest też moje osobiste zdanie, że ja tych psychologów nie lubię, uważam, że robią więcej zła niż dobra. To są wydumane zupełnie teorie

i fakt, że ja mam zwrócić się o poradę nie do matki, nie do ojca, tylko do jakiejś obcej osoby, jest dla mnie bzdurą, absolutnie. Więc nie mam do tej... Zresztą słuchałam kiedyś wywodów. Jak już robiłam specjalizację, musiałam kurs psychologii. No i powiedziałam tej pani: „Proszę pani, pani porównuje rzeczy nieporównywalne. To tak jakby pani porównywała kotlet schabowy do księżycy”. Oburzyła się, prawie że oblałam te, ten, bo taka zbuntowana na temat tej psychologii. Ale jest jeszcze jedna sprawa: gdzie chodziliśmy do szkoły. Więc szkoła podstawowa to była Marszałkowska 95. Mój brat najstarszy został skierowany, bo wtedy był przydział, do szkoły Reja. Była to szkoła prywatna, prowadzona przez pastora ewangelickiego jeszcze wówczas. Trzeba było płacić. Moich rodziców nie stać było na to, a nie było innego sposobu, żeby gdzieś indziej – tam przydział. Więc poszła do pastora. I muszę panu powiedzieć, że ten człowiek, dyrektor szkoły Reja, na placu Małachowskiego, zwolnił moich rodziców z opłat. Wie pan, jacy byli wtedy ludzie, naprawdę rozumiejący potrzeby drugiego człowieka. Ja natomiast zostałam skierowana do szkoły imienia Hoffmanowej. Wtedy, w moich czasach, liceum Hoffmanowej mieściło się na ulicy Polnej. To był taki budynek przystosowany do potrzeb szkolnych. Też trzeba było zdać egzamin. I tu i tu, bo oprócz tego... No to poradziłam sobie bez problemu. Wspominam zwykle... No, ludzie różnie wspominają szkoły. Moje liceum Hoffmanowej wspominam jako coś wspaniałego, wspaniały okres mojego życia. Dziewczeta przychodziły – to była wówczas szkoła żeńska – dziewczeta przychodziły w różnych ubiorach, ale obowiązywał fartuch i biały kołnierzyk, czysty, żeby się nikt nie, tam nie wyróżniał. Więc dlaczego... Kto był dyrektorką. Dyrektorką była przełożona, a może nawet właścicielka pensji przedwojennej, ale na pewno była przełożoną – panna Podjedówna. To była dama. Drugą damą, którą pamiętam, to była pani profesor od matematyki, która... Pani Matusiewicz. Nauczycielka od polskiego, nauczycielka od łaciny – no to były wspaniałe osoby. Zwracały się do nas: „dziewczeta”, „panienki”. Było miło. To nie znaczy, że w tej szkole nie było reguł. Reguły były, pewne zasady zachowania się były surowo przestrzegane. Wiedza, wysoko przestrzegana, bardzo przestrzegana. Panna Podjedówna uczyła nas logiki. Ja nie wiem, czy teraz w ogóle mają, ja nie znam programu, ale wie pan, dyrektorka Podjedówna nauczyła mnie logicznego rozumowania. Bo ja wiedziałam, co to jest kwadrat logiczny, co to są koła oilerowskie. Co... Z czego można wyciągnąć wniosek. Co to jest twierdzenie proste, przeciwstawne, naprzemienne – no różne rzeczy z logiki, które później bardzo mi były, pomogły w życiu. To była... Dbano o wszystko, o poprawność języka. Do dziś pamiętam: pani Matusiewicz wezwała mnie do tablicy: „Kozłowska, narysuj... Jak wykreślisz okrąg?”. A ja zaczęłam: „Więc bierzemy...”. „Czy to jest wniosek?” – bo ona lekko zaciągała. Była podobno z „białej emigracji” rosyjskiej. „I już – ja mówię...”. „Jak to? Jeśli używasz »więc«, to znaczy, że wniosek. Nie wolno!”. Więc uczyła nas poprawnej polszczyzny nawet na lekcji matematyki. Więc, wie pan, wyniosłam z tej szkoły dużo dobrego. Szkoła była na bardzo wysokim poziomie. I jaki był stosunek nauczycieli do nas. Pod koniec... tuż przed maturą spytano, kto na jaki kierunek będzie ubiegać się na studia. Bezpłatnie te nauczycielki dawały dodatkowe lekcje w tej dziedzinie, w której obowiązywał egzamin wstępny na dane studia. No oczywiście, wszystkie – jedna dziewczyna nie zdała na studia tam, gdzie chciała, ale tylko dlatego, że ona nie chciała, bo ona poszła do szkoły pielęgniarstwa. Wszystkie inne... Więc w gruncie rzeczy stuprocentowe przyjęcie na ten... To świadczy o poziomie ówczesnej szkoły. Ja nie wiem, czy mi wypada i czy powinnam, ale mnie, aż mi się to... Ponieważ jestem tak sama nieraz w swoich przemyśleniach, to jednak to powiem. Proszę pana, czy nie wydaje się panu, że te moje damy klasowe, te nauczycielki o wysokiej elegancji, zachowaniu się – tak jak mówię: to były damy – nie mogą mieć większej pretensji z uwagi na przemiany ustrojowe, w których, gdzie ich status życiowy zmienił się, niż obecni nauczyciele? Ja sobie nie wyobrażam, żeby moje grono pedagogiczne tak się zachowywało w sposób, w mojej opinii, podkreślam, skandaliczny, jak dzisiejsi nauczyciele. Ci ludzie, którzy się, którzy robią takie przed-

stawienia, oni w ogóle nie powinni być nauczycielami, oni się dyskredytują. No, ale to na marginesie porównania szkoły powojennej, z moją kadrą – inteligentną, wspaniałą, z zasadami, w porównaniu z tym, z tym, co ci walczy. Nie wiem, może mają prawo walczyć, ale czy w taki sposób? Jest to według mnie, starego człowieka, naganne. Oni sobie, oni się sami zdyskwalifikowali jako nauczyciele, w porównaniu z tym, bo tak jak mówię, panna Podjedówna, przełożona pensji przedwojennej, czy ona nie była, w sensie materialnym czy w sensie statusu społecznego, bardziej poszkodowana niż ci obecni nauczyciele? Ona nie miała wyboru, żeby robić coś innego. Ci? Nie chce – to idź i zmień zawód po prostu. Ja przepraszam, to jest taka moja dygresja, ale to we mnie po prostu tkwi, ja z tym się nie mogę pogodzić, dlatego że to jest szkodliwe dla naszego pokolenia. Moi nauczyciele byli dla mnie wzorem zachowania, uczciwości, niekorzystania ze ściąg. No, no jakiejś... Byli przedłużeniem mojego przyzwoitego zachowania, które wyniosłam z domu. A tutaj? To jest niepokojące ze względu na przyszłe pokolenie. No jednak nauczyciel jest jakimś wzorcem, autorytetem, a w każdym bądź razie powinien być, a w mojej opinii nie jest. I to się martwię na stare lata o przyszłe pokolenia, chyba że się zmieni. No. Czy jeszcze bym chciała coś powiedzieć? Proszę pana, ja muszę powiedzieć, że ludzie się zmienili i to nie dlatego, że ja się zestarzałam, bo wszystko wokół mnie się zmieniło, dużo rzeczy się zmieniło, ale w moim odczuciu najbardziej to na niekorzyść zmienił się człowiek. Byłam, no właśnie, na spacerze Krakowskim Przedmieściem. No uniknęłam tych... Zobaczyłam starszego, bardzo – to było gdzieś, no może miesiąc, może dwa miesiące temu – starego człowieka w mundurze wojskowym. Młodzi ludzie koło niego, megafon, on coś mówi. Młody człowiek do mnie podchodzi i mówi: „Proszę pani, proszę do...”. Ja mówię: „Synku, dziękuję ci, ale ja jestem sama chodzącą historią, ja to wszystko znam. Dziękuję, ale dobrze”. Idę dalej i słyszę – przy kościele akademickim stoi grupka, pięciu policjantów, otoczona. Paszkwilantów, jak ja ich nazywam. Przez tę tubę wymieniają, jakie to zdemoralizowanie, jakie to, jaka to pedofilia w kościele. Tu, z imienia, nazwiska wymieniane. Proszę pana i na złość jeszcze, w tym momencie... Pan wie pewnie, jest tam taka wnęka, jest taki obelisk z tym. Więc ja po prostu ze złości nie wytrzymałam. Podchodzę do policjantów i mówię: „Proszę pana, kogo pan tu osłania? Takich paszkwilantów?”. „Taki mamy rozkaz”. Ja mówię: „Jaki rozkaz? Pan powinien mieć przede wszystkim... Proszę pana: jeśli pan nie może ich przepędzić, to niech przynajmniej pan przesunie miejsce postoju tych paszkwilantów. Gdzie tak można? Jak tak można?”. „My nie możemy”. Ja mówię: „Proszę pana, kogo pan pilnuje? A czy pan wie, co się w tym miejscu odbywało? Otóż tu odbywały się nabożeństwa w okresie stanu wojennego i tak to było, bo ja w tym uczestniczyłam”. I mówię: „A teraz słyszę takie, takie rzeczy? Takie wyrazy? Takie, takie pomówienia? Jak pan może takich ludzi osłaniać w miejscu, dla mnie osobiście, świętym, bo to są z okresu... Czy pan wie chociaż, że tu się odbywały te...”. „No ja nic nie mogę zrobić”. Poszłam... I przeszłam dalej, ale taka oderwała się od nich pani, pewnie 40+, łeb na czarno ufarbowany, bo inaczej tego nie można... I wtyka mi jakiejś te, a ja mówię: „Precz ode mnie, stara wiedźmo!”. I tu dałam upust swojej złości, bo już nie mogłam. Proszę pana, ale miałam promyczek – tak to zawsze Pan Bóg na drodze naszego życia stawia. Idę dalej Placem Zamkowym, bo myślę sobie, pójdę przez Rynek, przez Nowe Miasto. Chłopczyk mały puszcza bańki mydlane, bańki mydlane, dla mnie ogromne. Ja pamiętam swoje bańki mydlane, to były małe bańki, a on ogromne puszcza. Podbiega do mnie dziewczynka i mówi: „Proszę pani...” – bo te bańki na mnie padały, a ja nie zwracałam na to uwagi. Podeszła do mnie dziewczynka i mówi: „Proszę pani, ja panią bardzo przepraszam za mojego braciszka, ale on się tak rozbrykał”. Proszę pana, cała złość ze mnie wyparowała i myślę sobie: dzieci, dzieci są wspaniałe, nie wolno... Mówię: „Dziecinko, żebyś ty wiedziała, jak ja ci jestem wdzięczna, żeś ty do mnie powiedziała: »przepraszam«. Nic się złego nie stało, twój braciszek nic złego nie robi”. Ale wie pan, na moje stare lata, po takich rzeczach, które, dosłownie sto metrów wstecz, minęłam – dziecko, dziecko dobre. Dlatego mówię:

nie wolno nam pozwolić zniszczyć dzieci, dzieci są dobre. Ja myślę, że ja już skończę, nie wiem zresztą, co tam panom się spodoba w tej mojej wypowiedzi. Nie ma znaczenia. Ja, mówiąc szczerze, jestem wdzięczna, żeście mnie wysłuchali. To wymaga cierpliwości na pewno, bo to są i moje opisy, ale to są i trochę moje poglądy, ale to jest i moja historia, no i długo to trwało. Ale ja wyrzuciłam z siebie trochę swoich zaległości, takich, które się działy we mnie przez siedemdziesiąt pięć lat, no i bieżących, bieżących, z którymi ja się nie potrafię pogodzić.

Od pewnego momentu zastanawiałem się, jaki jest pani zawód. Nie zgadłem, pani mnie zaskoczyła, dlatego że przy takiej precyzji opisu tego fragmentu miasta, takiego opisu bardzo technicznego, numer po numerze, elewacja po elewacji, zacząłem się zastanawiać nawet, czy pani nie jest, nie była zawodowo związana z jakimś tematem politechnicznym czy już nie mówię, architekturą, ale po prostu, no pamięć o tym fragmencie miasta, tak precyzyjną: które kamienice przetrwały, które nie przetrwały.

Proszę pana, dawniej, zanim się, to znaczy w moim okresie, jeszcze w okresie po... Zanim się zdobyło zawód konkretny i podjęło się, to dostawało – otrzymywało się tak zwane wykształcenie ogólne. Nie było, nie było mowy o tym, żeby, żeby nie być przygotowanym ogólnie. Mój wstępny egzamin na medycynę to też cała historia, bo był egzamin z fizyki, który polegał na zadaniach z optyki i do tej pory pamiętam. Wie pan, ja mam pamięć bardzo dobrą. I było, był wykład o promieniach Roentgena i trzeba było napisać, co się te... Wychodzę ja z tego egzaminu i słyszę takie teksty: „No, mojej mamusi to się śniły, śniło, że będą promienie Roentgena”. Opałam. Przyszłam do domu, mówię: „Mamo, oblałam. Ja napisałam tylko to, co z wykładu, a okazuje się, że wszyscy wiedzieli, jaki będzie temat tego wykładu”. Wówczas dziekanat był na Filtrowej. I ja mówię: „Ja nie idę sprawdzić, bo na pewno”... Przyleciała matka. Poleciała, moja kochana, staruszka już wtedy – bo się bardzo wczesnie zestarzała przez ten, ten. Leci przez podwórko, macha do mnie, wpada i mówi: „Słuchaj, bierz się dalej za chemię, za wszystko inne, za biologię, pozostałe – zostałam zwolniona z egzaminu”. Ja mówię: „Jak to?”. Widzi pan, wtedy tak wyglądał egzamin. Tam nie chodziło o to, co ty wiesz o promieniach Roentgena, tylko co usłyszałaś na wykładzie i co sobie przyswoiłaś. I za to dostałam, no z optyki, ten, zadania też oczywiście. Był egzamin ustny. No chemia tam bez problemu, ale był taki problem, taki ten, nauka o Polsce i świecie współczesnym. No więc wyciągnęłam... No było. Taki, taki w programie. Żeby zdać, to trzeba... I czytam tam: „Związek Patriotów Polskich”... No, wszystko wiem. I zaczynam. I wie pan, o czym? Tak miałam naładowaną głowę moją polonistką. Zaczęłam oczywiście o Towarzystwie Patriotycznym. Filomaci, filareci, klasztor bazylianów – i opowiadam, i o Promienistych, całym tym... Widzę dziwne uśmieszki na twarzy tych egzaminatorów, ale nikt mi nie przerywa. Spojrzałam i mówię: „O Boże! Ja miałam mówić o Związku Patriotów Polskich. Ale ja zaraz powiem! I o tej Wasilewskiej, i o tym Lampe - ja zaraz o nich wszystkich...”. „Nie, nie trzeba”. Czy pan wie, że ja dostałam piątkę? Bo byli tacy ludzie. Im się podobało, podobał mój... romantyzm w moim wykonaniu, okres romantyzmu. Proszę pana, dziwnie się układają... Więc wydawałoby się, że powinnam zostać oblana natychmiast, albo: „No to mów o tej Wasilewskiej”. „Nie, nie trzeba”. Wystarczył im Mickiewicz, Zahn, filomaci, filareci. Do czego zmierzam: inni byli ludzie, inny świat, naprawdę. Naprawdę. Proszę pana, dla mnie egzamin testowy to jest bzdura kompletna. Proszę pana, ja zostałam wtedy oceniona również jako człowiek, czy ja się do tego zawodu nadaję, bo oni ze mną porozmawiali. Był ustny egzamin. No i znów dygresja. No, ale taka jestem już, no, gadatliwa.